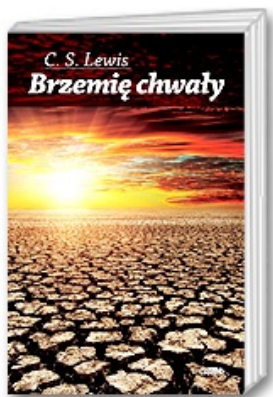


Clive Staples Lewis

[Brzemie chwały](#)

Izajasz.pl



Zobacz więcej w księgarni religijnej Izajasz:

[Brzemie chwały](#)

C. S. Lewis

Brzemie chwały

Izajasz.pl

Tytuł oryginału: *The Weight of Glory and Other Addresses*

Przekład: **Dariusz Bakalarz**

(przekład eseju "Dlaczego nie jestem pacyfistą" **Jan Muranty**:
C. S. Lewis, *Nieodparte racje*, OW Logos, Warszawa 2003)

Redakcja i korekta: Ita Turowicz

Projekt okładki i skład: Marcin Polański

Cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia
Wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990

This collection copyright © 1975, 1980 by The Trustees of the Estate of C. S. Lewis
Copyright © 1962, 1965 by C. S. Lewis. Copyright © 1949 by Macmillan Publishing Company, a division of Macmillan, Inc.

Copyright for the Polish edition © 2012
by Oficyna Wydawnicza LOGOS

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, powielanie, odczytywanie w środkach publicznego przekazu dozwolone po pisemnym uzgodnieniu z wydawcą.

W sprawie zezwoleń należy zwracać się do

Oficyny Wydawniczej LOGOS

01-913 Warszawa, ul. Szekspira 4/386

tel./fax (22) 772 95 27; tel. (22) 793 09 04

tel. kom. 0 609 680 132

e-mail logos@logos.warszawa.pl

www.logos.warszawa.pl

ISBN: 978-8-38-694198-8

Spis treści

<i>Wprowadzenie Waltera Hoopera</i>	7
<i>Wstęp C. S. Lewisa</i>	31
1. Brzemie chwały	33
2. Nauka w czasach wojny	57
3. Dlaczego nie jestem pacyfistą	75
4. Transpozycja	107
5. Czy teologia jest poezją	133
6. Wewnętrzny krąg	159
7. Przynależność	177
8. O przebaczeniu	197
9. Przejęzyczenie	203

Brzemie chwały

Gdyby dzisiaj zapytać dwudziestu dobrych ludzi, co uważają za najwyższą z cnót, to dziewiętnastu z nich zapewne odpowie, że bezinteresowność. Jeśli jednak zapytalibyście o to samo dowolnego chrześcijanina w dawnych czasach, odparłby: miłość. Widzicie, co się stało? Miejsce pozytywnego określenia zastąpiło negatywne i ma to znaczenie nie tylko językowe. Przecząca forma słowa *bezinteresowność* nie sugeruje, abyśmy w pierwszej kolejności czynili rzeczy dobre dla innych, lecz abyśmy odmawiali ich sobie – jakby ważne było nie szczęście innych, lecz nasza wstrzemięźliwość. Nie sądzę, aby to wynikało z chrześcijańskiej cnoty miłości. Nowy Testament wiele mówi o samowyrzeczeniu, ale nigdy nie jest ono celem samym w sobie. Mamy dokonywać wyrzeczeń i brać na siebie krzyż, aby naśladować Chrystusa. I niemal każdy opis tego, co osiągniemy, tak postępując, zawiera odwołanie do jakiegoś pragnienia. Jeżeli we współczesnym umyśle czai się przekonanie, że pragnienie własnego dobra i nadzieja na osiągnięcie radości to rzeczy złe, to wyjaśniam,

iż przekonanie to wywodzi się od Kanta i stoików, a nie z wiary chrześcijańskiej. W rzeczy samej, wzięwszy pod uwagę szczerze obietnice zawarte w Ewangelii, wygląda na to, że Chrystus Pan uważa nasze pragnienia nie za zbyt silne, lecz za zbyt słabe. Tak jak u nieświadomego dziecka, które zadowala się lepieniem babek w brudnej piaskownicy, bo nie wie, czym jest obietnica spędzenia wakacji nad morzem – nie ma w naszych sercach entuzjazmu i oszłamiamy się alkoholem, seksem oraz ambicją, chociaż mamy obietnicę osiągnięcia nieskończonej radości. Zbyt łatwo nas zadowolić.

Nie powinniśmy zwracać sobie głowy niewierzącymi, którzy twierdzą, że taka obietnica czyni z chrześcijańskiego życia interesowne przedsięwzięcie. Istnieją różne rodzaje nagród. Jest nagroda bez naturalnego związku z rzeczami, które robicie, aby na nią zasłużyć, i rzeczom tym obce jest jej pragnienie. Pieniądze nie są naturalną nagrodą za miłość. Dlatego człowieka, który żeni się z kobietą, bo liczy na jej pieniądze, nazywamy interesownym. Natomiast dla naprawdę zakochanego zawarcie małżeństwa stanowi nagrodę i w jego pragnieniach nie ma nic interesownego. Generał walczący z nadzieją, że otrzyma tytuł para, postępuje interesownie. Generał, który walczy o zwycięstwo – nie. Zwycięstwo stanowi stosowną nagrodę za walkę, tak jak małżeństwo jest stosowną nagrodą za miłość. Stosowne nagrody nie są wprost proporcjonalne

do działalności, za którą zostają przyznane, ale stanowią tych działań zwieńczenie. Istnieje jeszcze trzeci, nieco bardziej skomplikowany przypadek. Z całą pewnością radość z czytania greckiej poezji to nagroda stosowna, bez charakteru interesownego. To nagroda za naukę greki. Ale o tym są w stanie zaświadczyć tylko ci, którzy osiągnęli poziom pozwalający im cieszyć się grecką poezją. Dzieciak zaczynający naukę w szkole nie myśli o czytaniu w dorosłości Sofoklesa w taki sposób, jak generał myśli o zwycięstwie, a zakochany o małżeństwie. Zaczyna naukę, aby otrzymywać dobre stopnie albo uniknąć kary, albo zadowolić rodziców, w najlepszym zaś przypadku z nadzieją na przyszły pożytek, którego na razie ani nie pragnie, ani nie potrafi sobie wyobrazić. Jego podejście przypomina więc nieco podejście interesowne. Otrzyma za swoją naukę nagrodę naturalną, innymi słowy stosowną, lecz dopóki jej nie otrzyma, nie będzie o tym wiedział. Oczywiście, nagroda przychodzi stopniowo. Ciężką pracę powoli przenika radość i nikt nie potrafi wskazać dnia ani godziny, kiedy jedno mija, a zaczyna się drugie. Na razie jednak podchodzi do nagrody tak, jakby pragnął jej dla własnego dobra. A moc płynąca z pragnienia sama w sobie jest już wstępną nagrodą.

W podobnej sytuacji jak uczeń w szkole, znajduje się chrześcijanin w odniesieniu do nieba. Ci, który zgodnie

z wizją Boga osiągnęli życie wieczne, niewątpliwie doskonale wiedzą, że nie jest to tylko marny napiwek, lecz prawdziwe ukoronowanie ziemskiego bycia uczniem. My, cośmy go jeszcze nie osiągnęli, nie możemy posiadać tej samej wiedzy, a nawet nie możemy zacząć jej zdobywać, tylko musimy być posłuszni i cieszyć się ze wstępnej, wynikającej z posłuszeństwa nagrody w postaci coraz większego pragnienia nagrody ostatecznej. W miarę jak rośnie nasze pragnienie, maleje strach, że mogłoby ono być interesowne, i w końcu zaczynamy uważać takie przypuszczenia za absurdalne. Jednak u większości z nas nie dzieje się to z dnia na dzień. Poezja zastępuje gramatykę, ewangelia zastępuje prawo, a posłuszeństwo przekształca pragnienie stopniowo niczym wody przyływu podnoszące statek z mielizny.

Ale istnieje jeszcze jedno ważne podobieństwo pomiędzy nami a uczniem ze szkoły. Jeśli jest on obdarzony wyobraźnią, to będzie rozkoszował się angielską poezją i opowieściami stosownymi do swojego wieku, zanim zacznie przypuszczać, że grecka gramatyka zawiedzie go do jeszcze większej tego samego typu radości. Czasami może nawet zaniedbuje grekę, aby ukradkiem czytać Shelleya i Swinburne'a. Innymi słowy, pragnienie tego, co ma do zaoferowania grecka poezja, już w nim istnieje i kojarzy je ze sprawami, które wydają mu się zupełnie

niezwiązane z Ksenofontem ani greckimi czasownikami. I tak, skoro zostaliśmy stworzeni, aby trafić do nieba, pragnienie znalezienia się w tym przeznaczonym dla nas miejscu istnieje w nas, ale nie jest jeszcze skojarzone z odpowiednim obiektem, a czasami nawet wydaje się, że z nim rywalizuje. I właśnie tak, jak sądzę, to odbieramy. Moje porównanie z uczniem w jednym punkcie niewątpliwie się załamuje. Poezja angielska, którą czyta zamiast wykonywać ćwiczenia z greki, może być równie dobra jak grecka, do której prowadzi go gramatyka. Dlatego jeśli jego pragnienie miało dążyć do Ajschylosa, zatrzymało się na Miltonie, to nie znaczy, że zaspokaja się fałszywym obiektem. Inaczej w naszym przypadku. Skoro przeznaczeniem człowieka jest ponadczasowe, nieskończone dobro, to każde inne, na którym zatrzymuje się nasze pragnienie, musi być do pewnego stopnia zbłądzeniem i mieć w najlepszym razie tylko symboliczny związek z tym, co może nam przynieść prawdziwą satysfakcję.

Mówiąc o pragnieniu tej odległej krainy, które znajdujemy w sobie nawet teraz, odczuwam pewne zawstyżenie. Zupełnie jakbym popełniał coś nieprzyzwoitego. Próbuję każdego z was pozbawić pewnego bolesnego sekretu – sekretu zadającego tyle cierpienia, że z zemsty nadajecie mu takie nazwy, jak nostalgia, romantyzm, dojrzewanie. Sekretu, który przeszywa na wylot z taką

słodyczą, że gdy zbliża się nieuchronnie w intymnej rozmowie, zaczynamy się czuć nieswojo i wolimy raczej pośmiać się z siebie samych; sekretu, którego nie możemy ani wyjawić, ani ukrywać, chociaż pragniemy i jednego, i drugiego. Nie możemy go wyjawić, bo jest to pragnienie czegoś, co nigdy w naszym życiu nie zaistniało. Nie możemy ukrywać, bo stale pojawia się w naszych przeżyciach i zdradza nas niczym wspomnienie ukochanej osoby. Naszym najpowszechniejszym wybiegiem jest nazywać go pięknem i zachowywać się tak, jakby to załatwiało sprawę. Wordsworth przypisywał temu związek z pewnymi momentami z własnej przeszłości. Ale to wszystko nieprawda. Gdyby mógł wrócić do owych chwil z przeszłości, nie znalazłby tych samych rzeczy, tylko coś, co je przypomina. Okazałoby się, że jego wspomnienie istnieje tylko we wspomnieniu. Jeśli zaufamy książkom i muzyce, w których – jak sądzimy – tkwi piękno, zdradzą nas. To piękno nie tkwi w nich, lecz przez nie przenika, a tym, co przenika, jest tęsknota. Rzeczy te – piękno, wspomnienia z przeszłości – są dobrymi obrazami tego, czego naprawdę pragniemy. Jeśli jednak błędnie bierzemy je za sam obiekt, który odzwierciedlają, stają się ogłupiającymi bożkami łamiącymi serca swoim czcicielom. Bo obrazy to nie rzeczy, które przedstawiają, tylko zapach kwiatów, których nie znaleźliśmy, tylko echo dźwięków, których

nie słyszeliśmy, tylko wiadomości z kraju, w którym nigdy nie stanęła nasza stopa.

Myślicie, że próbuję zaklinać słowami. Być może, ale przypomnijcie sobie bajki. Zaklęcia służą nie tylko do rzucania czaru, ale także do zdejmowania. A nam potrzebne jest naprawdę silne zaklęcie, które zdejmie z nas zły czar przyziemności rzucony na nas przed prawie stu laty. Niemal cała edukacja została ukierunkowana na to, żeby uciszyć ten nieśmiały, nieustanny głos wewnętrzny. Prawie wszystkie nowoczesne filozofie są skonstruowane tak, aby przekonać nas, że człowiek może znaleźć dobro na tym świecie. Co ciekawe jednak, takie ideologie, jak oświeceniowa filozofia postępu albo ewolucjonizm, niechętnie poświadczają prawdę, że nasz prawdziwy cel znajduje się gdzie indziej. Zwróćcie uwagę, w jaki sposób próbują przekonywać, że waszym prawdziwym domem jest ziemia. Najpierw, dając pożywkę waszemu przecuciu wygnania na ziemię, usiłują przekonać, że ziemia może stać się niebem. Następnie twierdzą, że to szczęśliwe wydarzenie nastąpi gdzieś w odległej przyszłości, dając w ten sposób pożywkę waszej wiedzy, że ojczyzna nie znajduje się tu ani teraz. I w końcu – żeby nie przebudziło się w was pragnienie czegoś ponadczasowego i nie zepsuło całej sprawy – stosują każdą dostępną retorykę, aby odsuwać od was pamięć, że nawet jeśli całe to obiecujące

szczęście na ziemi nastąpi, to każde pokolenie będzie je tracić wraz ze śmiercią, także to ostatnie ze wszystkich, aż cała historia przestanie być czymkolwiek, nawet nie historią, na zawsze. Tak więc nonsensem jest wszystko, co wygłaszał pan Bernard Shaw w ostatnim monologu Lilith, także twierdzenia pana Bergsona, że *élan vital* jest w stanie pokonać wszystkie przeszkody, może nawet samą śmierć – tak jak byśmy mieli uwierzyć, że społeczny albo biologiczny rozwój na tej planecie powstrzyma starzenie się Słońca albo odwróci drugie prawo termodynamiki.

Zatem postępując wedle ich wskazówek, nadal pozostajemy ze świadomością pragnienia, którego nie zaspokoi żadne naturalne szczęście. Ale czy jest jakiś powód, by przypuszczać, że rzeczywistość byłaby w stanie je zaspokoić? Powiada się: „Głód nie jest dowodem na to, że mamy chleb”. Będę jednak utrzymywał, iż to twierdzenie nie oddaje prawdy o sytuacji. Fizyczny głód człowieka nie dowodzi, że otrzyma chleb. Może na przykład umrzeć z głodu na tratwie dryfującej przez Atlantyk. Dowodzi jednak, że człowiek należy do gatunku, który regeneruje ciało pożywieniem, i że zamieszkuje świat, w którym istnieją substancje odżywcze. W ten sam sposób – choć nie mam pewności (a szkoda), że moje pragnienie rajy dowodzi, iż go osiągnę – mogę mniemać, że jest to całkiem przekonującym znakiem, iż taka rzecz istnieje i nie-

którzy ludzie jej dostępują. Mężczyzna może kochać kobietę i jej nie zdobyć, ale byłoby dziwne, gdyby do zjawiska zwanego „zakochaniem” dochodziło w świecie pozbawionym płciowości.

Mamy więc pragnienie kierujące się w różne strony, niepewne swojego obiektu i w dużej mierze nie potrafiące dostrzec go tam, gdzie się znajduje. Wspominają o nim nasze święte księgi. Jest to oczywiście wspomnienie symboliczne. Niebo z definicji leży poza zasięgiem naszych zmysłów, jednak jego przystępne opisy jesteśmy w stanie sobie przyswoić. Obraz nieba w Piśmie Świętym jest więc równie symboliczny jak obraz, który samodzielnie tworzy sobie nasze pragnienie. Niebo nie jest wypełnione klejnotami, tak jak nie jest odzwierciedleniem uroku natury ani czaru pięknego utworu muzycznego. Różnica polega na tym, że za opisem z Pisma Świętego stoi autorytet. Opis ten dociera do nas za pośrednictwem autorów bliższych Bogu niż my i przeszedł chrześcijańską próbę czasu. Jak dla mnie, na pierwszy rzut oka naturalny urok wizji przedstawionej przez autorytety jest niewielki. W pierwszej chwili raczej hamuje niż rozbudza moje pragnienie. I właśnie tego należało się spodziewać. Gdyby chrześcijaństwo było w stanie powiedzieć mi o odległej krainie nie więcej, niż pozwala mi się domyślić mój temperament, wówczas nie prezentowałyby wyższego poziomu niż

mój. Jeśli ma mi zaoferować więcej, to przypuszczam, że musi zawierać mniej doraźnego powabu niż „moje własne wymysły”. Chłopcu, który dorósł tylko do Shelleya, Sofokles może się wydawać początkowo nudny i oschły. Skoro nasza religia ma być obiektywna, to nie wolno nam odwracać oczu od tych elementów, które wydają nam się niezrozumiałe albo odpychające – bo właśnie to, co niezrozumiałe lub odpychające, zasłania owo coś, czego jeszcze nie wiemy, a trzeba, byśmy się dowiedzieli.

Obietnice zawarte w Piśmie Świętym można z grubsza podsumować w pięciu punktach. Obiecuje ono: (1) że będziemy z Chrystusem, (2) że będziemy tacy jak On, (3) że, przy sporej dozie wyobraźni, posiadziemy „chwałę”, (4) że będziemy w pewnym sensie nakarmieni, uraczeni albo zabawieni, oraz (5) że zajmiemy we wszechświecie pewne oficjalne stanowisko: będziemy rządzić miastem, osądzać anioły, będziemy kolumnami świątyni Boga. Pierwsze pytanie na temat tych obietnic, jakie sobie zadaje, to: „Po co – oprócz tej pierwszej – nam one?”. Czy do myśli, że będziemy z Chrystusem, można jeszcze coś dodać? Prawdą przecież musi być to, co mówi dawny autor: ten, który ma Boga i wszystko inne, nie ma więcej od tego, kto ma tylko Boga. Wydaje mi się, że odpowiedź znów zwraca się ku naturze symboli. Na pierwszy rzut oka mogło to umknąć naszej uwadze, ponieważ jest

prawdą, że dla większości z nas koncepcja przebywania z Chrystusem nie wydaje się mniej symboliczna niż pozostałe obietnice. Zawiera bowiem idee bliskości fizycznej i pełnej miłości rozmowy w obecnym rozumieniu słowa *rozmowa*, a także koncentruje się najprawdopodobniej na człowieczeństwie Chrystusa z pominięciem Jego boskości. I faktycznie okazuje się, że chrześcijanie ograniczający się do tej pierwszej obietnicy, uzupełniają ją sobie bardzo przyziemnymi obrazami – zaślubinami albo erotycznymi wyobrażeniami. Nie będę w tej chwili ich potępiał. Szczerze żałuję, że nie potrafię głębiej w nie wniknąć, i modłę się, aby kiedyś do tego doszło. Od siebie chcę powiedzieć tylko tyle, że jest to także jedynie symbol, choć inny od pozostałych, i dlatego wymaga skorygowania przez inne symbole z innych obietnic. Różnorodność tych obietnic nie oznacza, że naszym ostatecznym szczęściem nie będzie sam Bóg. Ale ponieważ Bóg jest nie tylko Osobą, więc abyśmy nie musieli wyobrażać sobie radości z przebywania w bliskości z Nim jedynie kategoriami naszych terażniejszych ubogich przeżyć miłości osobistej, ze wszystkimi jej ograniczeniami, obciążeniami i całą jej monotonią, otrzymaliśmy kilka zmiennych obrazów, które korygują i łagodzą się nawzajem.

W następnej kolejności przechodzę do koncepcji chwały. Nie odbiegnę daleko od prawdy, jeśli powiem,

że idea ta zajmuje prominentne miejsce w Nowym Testamencie i pismach pierwszych chrześcijan. Zbawienie kojarzy się z palmami, koronami, z obrazami białych szat, tronów oraz światłości przypominającej słońce albo gwiazdy. Nic z tego nie robi na mnie wrażenia, i przypuszczam, że pod tym względem jestem typowym współczesnym człowiekiem. Chwała nasuwa mi dwie myśli, jedną nieco występłą, a drugą śmieszłą. Chwała oznacza dla mnie albo sławę, albo jasność. W pierwszym przypadku, ponieważ sława oznacza bycie lepiej znanym niż inni, pragnienie sławy kojarzy się z namiętnością rywalizacji, a więc raczej piekłem niż niebem. A jeśli chodzi o drugi, to kto chciałby być chodzącą żarówką?

Gdy zacząłem wnikać w tę sprawę, z niejakim wstrząsem odkryłem, że tak różni chrześcijanie, jak Milton, Johnson i Tomasz z Akwinu, odbierali niebiańską chwałę w kategoriach, szczerze mówiąc, sławy i dobrej opinii. Jednak nie sławy przyznanej nam przez bliźnich, lecz sławy w oczach Boga, czyli Jego aprobaty lub (rzec można) „docenienia”. A wówczas, przyjrząwszy się temu pogładowi bliżej, doszedłem do wniosku, że zgadza się on z Pismem Świętym. Porównanie do Bożej pochwały niczego tu nie ujmie: „Dobra robota, jesteś dobrym i wiernym sługą”. Wraz z tym uświadomieniem runęła jak domek z kart znaczna część tego, co myślałem przez

całe życie. Nagle przypomniałem sobie, że do królestwa niebieskiego nie wejdzie nikt oprócz dziecka. A u dziecka – nie pyszałkowatego, tylko dobrego – nic nie jest tak oczywiste, jak jego ogromna i nieskrywana radość z pochwały. Zresztą nie tylko u dziecka, ale także u psa albo konia. Nagle okazało się, że przez wszystkie lata to, co uważałem za skromność, uniemożliwiało mi zrozumienie *de facto* najskromniejszej, najbardziej dziecięcej i największej przyjemności wszystkich istot – powiem nawet, szczególnej przyjemności z podlegania: zwierzęcia człowiekowi, dziecka ojcu, ucznia nauczycielowi, istoty człowieczej Stwórcy. Nie zapominam przy tym, jak nasze ludzkie ambicje okrutnie parodiują to niewinne pragnienie ani – o czym wiem z własnego doświadczenia – jak szybko uprawniona radość z pochwały padającej z ust kogoś, kogo miałem obowiązek zadowolić, zamienia się w śmiertelną truciznę podziwu dla samego siebie. Wydaje mi się jednak, że potrafię dostrzec moment – bardzo krótki – zanim to następuje i w tamtym momencie satysfakcja z zadowolenia kogoś, kogo słusznie kocham i słusznie się lękam, jest czysta. A to wystarczy, aby wznieść myśli do tego, co może się zdarzyć, kiedy odkupiona duszyczka, ponad wszelką nadzieję i niemalże ponad wiarą, dowiadyje się przynajmniej, że zadowoliła Tego, dla którego zadowalania została stworzona. Wtedy nie ma miejsca dla próżności. Uwalnia się od nieszczęsnego złudzenia, że

robi to dla siebie. Bez śladu czegoś, co dzisiaj powinniśmy nazwać akceptacją siebie samego, w niewinny sposób łączy się z czymś, do czego stworzył ją Bóg, a moment ten, na wieki pozbawiając ją kompleksu gorszości, topi także jej dumę głębiej, niżli wpadła księga Prospera. Idealna pokora zwalnia nas ze skromności. Jeśli Bóg jest zadowolony z pracy, praca może być zadowolona z siebie: „nie do niej należy przerzucać się komplementami z Panem”.

Potrafię sobie wyobrazić, że nie wszystkim odpowiada moja koncepcja nieba, w którym jesteśmy poklepywani po plecach. Ale za tą niechęcią stoi wielkie niezrozumienie. W końcu Oblicze, które albo budzi zachwyt, albo przeżalenie wszechświata, musi zwrócić się do każdego z nas z tym lub tamtym wyrazem, przepelniając niemożliwą do wypowiedzenia chwałą lub budząc wstyd niemożliwy do zmycia ani uśmierzenia. Kiedyś w jakimś periodyku przeczytałem, że fundamentalną rzeczą jest to, jak myślimy o Bogu. Ale to nieprawda! Nie tylko o wiele bardziej, lecz wręcz nieskończenie bardziej ważne jest to, co Bóg myśli o nas. To, co my o Nim myślimy, nie ma żadnego znaczenia, o ile nie wiąże się z tym, co On o nas myśli. Zostało napisane, że „staniemy przed” Nim i zostaniemy osądzeni. Obietnica chwały – niemal niewiarygodna i możliwa do spełnienia tylko dzięki dziełu Chrystusa – dotyczy tego, że niektórzy z nas, ci, co naprawdę wybrali,

przetrwają tę inspekcję, otrzymają aprobatę i zadowolą Boga. Zadowolić Boga... Stać się faktycznym elementem Bożego szczęścia... być kochanym przez Boga, nie tylko z litości, ale i z zachwytu – tak jak artysta kocha swoje dzieło albo ojciec syna – wydaje się niemożliwe, wydaje się ciężarem albo brzemieniem chwały, który nasze myśli z trudem są w stanie unieść. Ale tak to już jest.

I zwróćcie uwagę, co się teraz dzieje. Gdy odrzuciłem autorytatywny i posągowy obraz chwały, zdecydowanie uchwyciwszy się ulotnego pragnienia, które w rezultacie było moją jedyną wskazówką co do nieba, mogłem nie widzieć żadnego związku pomiędzy tym pragnieniem a obietnicą chrześcijaństwa. Teraz jednak, śledząc to, co w świętych księgach wydaje się skomplikowane i mało pociągające, po pewnym czasie dostrzegłem – ku swemu zdumieniu – że ten związek jest idealnie wyraźny. Okazuje się, że chwała, na którą zgodnie z chrześcijańską nauką mam mieć nadzieję, zaspokaja moje pierwotne pragnienie i w gruncie rzeczy odsłania w tym pragnieniu element wcześniej niedostrzegany. Rezygnując na chwilę z rozważań nad własnymi pragnieniami, zacząłem lepiej rozumieć, czego naprawdę chcę. Gdy kilka minut temu próbowałem opisywać nasze duchowe tęsknoty, pomiąłem jedną z ich najdziwniejszych cech. Zwykle zauważamy ją, gdy obraz znika, muzyka cichnie i świa-

tło z nieba przestaje padać na krajobraz. Towarzyszące nam wtedy uczucia trafnie opisał poeta John Keats jako „powrotną podróż do swego powszedniego ja”. Wiecie, co mam na myśli. Przez kilka minut mieliśmy złudzenie przynależności do tamtego świata. A teraz obudziliśmy się i widzimy, że to nie tak. Byliśmy tylko zwykłymi widzami. Piękno obdarzyło nas uśmiechem, ale nie przyjęło do siebie. Zwróciło swe oblicze w naszą stronę, ale nas nie zobaczyło. Nie zostaliśmy dostrzeżeni, zaakceptowani ani zaproszeni do tańca. Możemy odejść, kiedy nam się podoba, albo jeśli to możliwe, zostać: „Nikt nas nie namierzył”. Naukowiec mógłby powiedzieć, że skoro większość rzeczy nazywanych pięknymi to rzeczy nieożywione, nie powinno dziwić, że nas nie zauważają. Oczywiście, to prawda. Ale nie mówię tu o przedmiotach fizycznych, lecz o tym czymś niemożliwym do opisanego, czego przez moment stały się przekąźnikami. O elemencie goryczy łączącej się ze słodyczą przekazu, a wynikającej z faktu, że przekaz rzadko jest skierowany do nas, pozostając raczej czymś, co tylko podsłuchujemy. Pod słowem gorycz mam na myśli nie urazę, lecz ból. Trudno nam prosić o to, żeby być zauważonym. Za to usychamy z tęsknoty. Poczucie, że jesteśmy na tym świecie traktowani jak obcy, tęsknota za potwierdzeniem, za jakąś odpowiedzią, za przekroczeniem otchłani dzielącej nas od rzeczywistości, stanowi część naszej tajemnicy nieukojenia. I z tego

punktu widzenia obietnica chwały, rozumianej tak, jak to zostało opisane, ma silny związek z naszym głębkim pragnieniem. Bo chwała oznacza nawiązanie porozumienia z Bogiem, Jego akceptację, odpowiedź, potwierdzenie, i zaproszenie do istoty rzeczy. W końcu otwierają się drzwi, do których pukaliśmy przez całe życie.

Opisywanie chwały jako faktu „dostrzeżenia” przez Boga wydaje się pewnym uproszczeniem. Ale jest to niemal taki sam język jak w Nowym Testamencie. Święty Paweł obiecuje, że kto miłuje Boga, ten nie – jak można by się spodziewać – pozna Boga, lecz zostanie przez Niego poznany (por. 1 Kor 8,3). To dziwna obietnica. Czyż Bóg nie zna zawsze wszystkiego? Jednak w innym fragmencie Nowego Testamentu słychać zatrważające echo tych słów. Jesteśmy ostrzegani, że każdy z nas, kto stanie w końcu przed obliczem Boga, może usłyszeć okrutne słowa: „Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie”. W pewnym, mrocznym dla myśli i nie do zniesienia dla uczuć, sensie możemy zostać wygnani sprzed oblicza Tego, który jest obecny wszędzie, i wymazani z wiedzy Tego, który wie wszystko. Możemy całkowicie i absolutnie znaleźć się *poza* – odepchnięci, wygnani, wyobcowani, ostatecznie i niewypowiedzianie zignorowani. Z drugiej strony, możemy zostać wezwani, przyjęci, uznani i zauważeni. Każdego dnia balansujemy na krawędzi pomiędzy tymi

dwiema niewiarygodnymi ewentualnościami. Najwyraźniej więc nasza życiowa nostalgia, nasza tęsknota za połączeniem się we wszechświecie z czymś, od czego czujemy się odcięci, za przekroczeniem drzwi, które zawsze widzieliśmy tylko z zewnątrz, to nie jakaś neurotyczna zachcianka, lecz najprawdziwszy odnośnik do naszej prawdziwej sytuacji. A ostateczne wezwanie do środka stanowi zarówno chwałę, jak i zaszczyt ponad wszelką zasługę, a także uśmierzenie naszych dawnych cierpień.

W ten sposób dochodzę do innego rozumienia chwały – chwały jako światłości, wspaniałości i jasności. Możemy lśnić jak słońce, możemy być jutrzeńką. Sądzę, że zacznę rozumieć, co to oznacza. Oczywiście, z jednej strony Bóg już dał nam jutrzeńkę – jeśli wstaniecie wystarczająco wcześniej, możecie o poranku cieszyć się tym darem. Ktoś zapyta: czego chceć więcej? A jednak my chcemy o tyle więcej – chcemy czegoś, co ledwo zauważają książki o estetyce. A co doskonale znają poeci i mitologie. Nie chcemy tylko *ogłądać* piękna, choć – Bóg wie – nawet to jest ogromną szczodrością. Chcemy jeszcze czegoś, co trudno ująć w słowa – zjednoczenia z obserwowanym pięknem, wniknięcia w nie, wchłonięcia go w siebie, pławienia się w nim, połączenia z nim. Właśnie dlatego powietrze, ziemię i wodę mamy zaludnione bożkami, boginiami,

nimfami i elfami – one, te wyobrażenia, w odróżnieniu od nas są w stanie w pełni cieszyć się pięknem, łaskawością i potęgą, których odzwierciedleniem jest natura. Dlatego poeci opowiadają nam takie piękne kłamstwa. Mówią tak, jakby zachodni wiatr naprawdę mógł dotrzeć do ludzkiej duszy – ale nie może. Mówią nam, że „piękno zrodzone z szemrania strumyka” odbija się w ludzkim obliczu – ale tak nie jest. Przynajmniej na razie. Bo jeśli poważnie potraktujemy wyobrażenia z Pisma Świętego, jeśli uwierzemy, że pewnego dnia Bóg da nam jutrzenkę i sprawi, iż przywdziejemy na siebie słoneczną światłość, to możemy wnioskować, że zarówno starożytne mity, jak i współczesna poezja – równie fałszywe czy sztuczne jak historia – są bliskie prawdy niczym prorocstwo. Obecnie jesteśmy poza światem, po złej stronie drzwi. Dostrzegamy świeżość i czystość poranka, ale to nie daje świeżości i czystości nam. Nie jesteśmy w stanie łączyć się z obserwowanymi wspaniałościami. Wszystkie jednak karty Nowego Testamentu szemrzą, że nie zawsze tak będzie. Pewnego dnia, zgodnie z Bożą wolą, *wnikniemy* w te wspaniałości. Gdy ludzkie dusze wydoskonalą się w dobrowolnym posłuszeństwie, tak jak nieożywiony twór natury w swym posłuszeństwie nieożywionym, przyjmą na siebie jej chwałę – a raczej chwałę jeszcze większą, której natura stanowi tylko pierwszy zarys. Nie sądźcie, że propaguję tutaj pogańskie zamiłowanie do łączenia

się z naturą. Ona jest śmiertelna, my ją przeżyjemy. Gdy przeminą wszystkie słońca i ich mgławice, każdy i każda z was nadal będzie żyć. Natura to tylko wizerunek, symbol – ale symbol, do którego wykorzystywania zachęca mnie Pismo Święte. Zostaliśmy wezwani do przejścia przez naturę, do wykroczenia poza nią ku wspaniałości, którą ona tylko częściowo odzwierciedla.

A tam, poza naturą, będziemy spożywać z drzewa życia. Obecnie, jeśli odradzamy się w Chrystusie, nasz duch żyje bezpośrednio z Bogiem, lecz nasz umysł, a w jeszcze większym stopniu ciało, otrzymuje od Niego życie w tysiącu kroków – za pośrednictwem przodków, pożywienia i żywiołów. Te niewyraźne, odległe oddźwięki energii stwórczego zachwyty Boga, które zawarł w materii, gdy tworzył światy, są tym, co nazywamy obecnie rozkoszami fizycznymi. I chociaż przebyły tak okrężną drogę, stanowią i tak zbyt wiele, abyśmy mogli sobie z nimi poradzić. Jak zadziałałby smak wody z samego źródła strumienia, gdy nawet jego odległe odnogi okazują się tak upajające? A jednak wierzę, że to właśnie nas czeka. Człowiek ma spijać radość z krynicy radości. Jak powiedział święty Augustyn, zachwyty zbawionej duszy „przepłynie” do uwielbionego ciała. W świetle naszych zawężonych i zdeprawowanych apetytów nie potrafimy sobie wyobrazić takich *torrens voluptatis*, porywających rozkoszy, i cał-

kiem poważnie ostrzegam wszystkich, żeby nie próbować. Trzeba jednak o tym wspomnieć, aby odeprzeć myśli jeszcze bardziej zwodnicze – myśli o tym, że zbawiona jest tylko bezcielesna zjawa, albo że uwzniosłone ciało żyje w tępej niewrażliwości. Ciało zostało stworzone dla Pana, więc takie posępne wyobrażenia są nietrafne.

Tymczasem krzyż przychodzi przed koroną i jutro mamy poniedziałek. W bezlitosnych murach świata rozwarła się szczelina i jesteśmy zaproszeni, aby wejść za naszym wielkim Dowódcą do środka. Podążanie Jego śladami to, oczywiście, rzecz niezbędna. Można zadać pytanie, jak w praktyce wykorzystać rozważania, w które tutaj się wdaję. Przychodzi mi do głowy przynajmniej jeden pożytek. Bardzo możliwe, że człowiek zbyt wiele myśli o czekającej go potencjalnej chwale. Mało jednak prawdopodobne, aby zbyt często lub zbyt głęboko rozmyślał o chwale swojego bliźniego. Na moich barkach powinien spocząć ów ciężar, albo to brzemie chwały mojego bliźniego, ten bagaż tak ciężki, że unieść go może jedynie pokora – a kark dumnego pęka złamany. To poważna rzecz albo zgroza i przerażenie spotykane dotąd – jeśli w ogóle – tylko w koszmarach sennych: żyć w społeczności potencjalnych bogów i bogiń, pamiętać, że najnudniejszy i najmniej ciekawy osobnik, z którym rozmawiamy, pewnego dnia może stać się postacią, którą

będziemy chcieli otoczyć czcią. Cały czas do pewnego stopnia pomagamy sobie w tym nawzajem. W świetle tak doniosłych możliwości, ze stosownym podziwem i ostrożnością, powinniśmy utrzymywać wszystkie nasze relacje z innymi, wszystkie nasze przyjaźnie, miłości, zabawy i polityki. Nie ma *zwyczajnych* ludzi. Nigdy nie rozmawiasz ze *zwyczajnym* śmiertelnikiem. Umierają kraje, kultury, sztuki i cywilizacje, a ich żywot jest wobec naszego tym, czym życie komara. To z nieśmiertelnymi istotami żartujemy, pracujemy, bierzemy ślub, kłócimy się i na koniec wspólnie doznajemy – nieśmiertelnych koszmarów lub wieczystych wspaniałości. Nie oznacza to, że mamy trwać w ciągłym patosie. Musimy się weselić. Lecz winna to być tego rodzaju (a jest to *de facto* rodzaj najpogodniejszy) wesołość, jaka istnieje między ludźmi od początku traktującymi się poważnie – bez nonszalancji, wywyższania ani uprzedzeń. A nasza miłość bliźniego musi być prawdziwą i doskonałą miłością – głęboko świadomą grzechów, pomimo których kochamy grzesznika, nie zaś zwykłą tolerancją lub pobłażliwością, która parodiuje miłość, tak jak nonszalancja parodiuje wesołość. Obok samej Eucharystii nasz bliźni pozostaje najświętszym z obiektów dostępnych naszym zmysłom. Jeśli to chrze-

ścijanin, jest prawie tak samo święty, bo w nim także Chrystus – Ten, który daje i odbiera chwałę, który sam jest całą Chwałą – *vere latitat*, naprawdę się kryje.

Izajasz.pl